

Teatr piórem Temidy

Jak sinusoida

Znane powiedzenie „chcieć to móc” jest głównym przesłaniem sztuki Petera Quiltera „Boska” granej w Teatrze Polonia. A zatem można powiedzieć, że wystarczy mocno pragnąć, aby zrealizowało się nasze marzenie. Tak jak stało się to w przypadku głównej bohaterki Florence Foster Jenkins, autentycznej postaci, nazywanej najgorszą śpiewaczką świata, o której opowiada sztuka. Mimo absolutnego braku słuchu muzycznego i głosu śpiewała – bo „chcieć to móc”. No tak, tylko trzeba jeszcze wspomnieć, że madame Jenkins mogła wprowadzić w życie swoje najbardziej upragnione marzenia dzięki fortunie, jaką otrzymała w spadku po ojcu. Tak więc słynne „chcieć to móc” ma tutaj silne podparcie finansowe. Oczywiście brak samokrytycyzmu, przekonanie o własnej wyjątkowości, specyficzne cechy charakterologiczne i brak jakichkolwiek kompleksów wynikających z braku talentu – nie są tu bez znaczenia.

Biografia słynnej amerykańskiej śpiewaczki (a raczej pseudośpiewaczki) świetnie nadaje się na scenariusz filmowy, „mydlaną operę”, sztukę teatralną czy powieść. I każdy z tych gatunków ma zapewnione powodzenie u publiczności, ponieważ już sama biografia Florence Foster Jenkins jest najprawdziwszym samograjem. Wiedział o tym doskonale Peter Quilter, pisząc sztukę o madame Jenkins. Wiedziała także o tym Krystyna Janda, biorąc do swego teatru tę sztukę i grając główną rolę. Ale ten samograj w zanadru skrywa pułapkę, w którą nieopatrznie można wpaść. A jako że „Boska” jest komedią, a nawet farsą, więc z owej pułapki można też się wydobyć. I tak na zmianę twórcy spektaklu wpadają i się wydobywają. Właśnie do takiej „sinusoidy” można porównać przedstawienie wyreżyserowane przez Andrzeja Domalika. Raz na górze, raz na dole, raz świetnie, raz fatalnie. Obok scen udanych są nieudane. I to głównie z powodu silnego, a czasami wręcz karykaturalnego przerysowania postaci granych przez aktorów. Właściwie wszystkich poza Maciejem Stuhrem.

Trudno uwierzyć w sam fakt światowej kariery grafomanki muzycznej i wokalne, która – jak piszą jej biografowie – podobno miała muzykę w głowie. Może i miała w głowie, ale z pewnością daleko od uszu. A jednak jej nazwisko przetrwało, a płyty z jej wykonaniami są sprzedawane na całym świecie. A propos – szkoda, że reżyser przedstawienia

Andrzej Domalik nie wykorzystał w przedstawieniu choć jednego oryginalnego nagrania Jenkins. Na przykład w finale spektaklu, już po monologu Macieja Stuhra. Sztuka Quiltera miała swoją prapremierę dwa lata temu i odtąd okrzyknięta jako hit teatralny grana jest z powodzeniem w teatrach, choć przyznać trzeba, że nie jest to tekst wysokich lotów. Ma za to jedną niezbędną cechę, by zadowolić widza, w warstwie stricte humorystycznej wpisany jest też element wywołujący u widza wzruszenie. Krystyna Janda choć z pewnym dystansem, a nawet autoironią potraktowała graną przez siebie postać, to zarazem obdarzyła ją ciepłem i uczuciowością. Madame Jenkins Krystyny Jandy to z jednej strony osoba nadzwyczaj prymitywna intelektualnie, pozbawiona gustu estetycznego, niemająca kulturalnej ogłady w sposobie bycia, chwilami wręcz przypominająca handlującą na bazarze babę z cielęciną i po chłopsku, z uporem, nie zważając na głosy krytyki, dążąca do wyznaczonego sobie celu. Z drugiej zaś strony Florence Jenkins w wykonaniu Krystyny Jandy jest kobietą pełną dobroci, łączącą niemałe fundusze na ubogich, łagodnie odnoszącą się do otoczenia i niczym dziecko pełną naiwności w postrzeganiu świata. Tak jakby żyła w innej rzeczywistości aniżeli jej otoczenie. Janda broni postaci swoją mimiką, czułością i niemal matczyną opiekuńczością nad innymi. Ta Jenkins musi więc budzić sympatię publiczności, która jest w stanie

wybaczyć wszystko. Także wycie zamiast śpiewu.

A wycie nie przeszkadza jej myśleć o sobie jako jednej z najwybitniejszych śpiewaczek operowych. Toteż najchętniej śpiewałaby na najbardziej prestiżowych scenach świata, jak Metropolitan Opera czy Carnegie Hall. I tak się stało. Florence Foster Jenkins otrzymała zaproszenie właśnie do Carnegie Hall, jej występ zakończył się aplauzem ponadtrzytysięcznej publiczności wypełniającej widownię. A to, że większość widzów omal nie dostała skrzętu kisk ze śmiechu, i to, że były gwizdy, nie zraziło Jenkins. Dopięła swego, marzenie się spełniło, zaśpiewała i w wieku 76 lat otrzymała od publiczności aplauz na stojąco. Miesiąc później, 25 listopada 1944 roku, zmarła.

Krystyna Janda pokazała tu swoje możliwości komiczne, ale zdecydowanie różniące się od innych ról o takim zabarwieniu. Szkoda, że chwilami do tego stopnia przerysowuje postać swojej bohaterki, że staje się ona całkowicie niewiarygodna. Już sam wyeksponowany zabawny kostium, jak na przykład w „Habanerze”, rysuje portret charakterologiczny i mentalnościowy madame Jenkins, do tego dochodzi tekst prezentujący jej postawę, sposób myślenia i gdy nałożymy na to przesadnie grubą kreską poprowadzone ruchy, tembr głosu (nie mówię tu o świadomym fałszowaniu wokalnym), to rzecz staje się nie tylko mało śmieszna, ale i nudna. Ale są tu i takie sceny, które pokazują maestrię aktorską Krystyny Jandy. Grzech przerysowania ciąży tu także na innych wykonawcach, świetnych przecież aktorach, na Krystynie Tkacz grającej Dorothy, przyjaciółkę śpiewaczki, na Wiktorze Zborowskim w roli Claire'a, niewygranego aktora teatralnego. Natomiast nadekspresja Anny Iberszer jako Marii, meksykańskiej służącej, szybko i z południowym temperamentem mówiącej po hiszpańsku, jest tu na miejscu. Maciej Stuhur zaś w przekonująco poprowadzonej roli wycieszonego, zrównoważonego akompaniatora Cosme jest jak gdyby z zewnątrz. Zaczyna i kończy tę opowieść o madame Jenkins.

Temida Stankiewicz-Podhorecka

„Boska” Petera Quiltera, reż. Andrzej Domalik, scen. Dorota Kolodyńska, Teatr Polonia, Warszawa.